

Smoleński, Władysław

W sprawie krytyki historycznej

Przegląd Historyczny 18/2, 129-145

1914

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

W sprawie krytyki historycznej.

I.

Artykuł o „Metodach i warunkach krytyki naukowej w zakresie dziejów nowożytnych“, pomieszczony w *Kwartalniku historycznym* z r. 1903, bardzo ładna zdobi konkluzya. „Historyografja właściwa i odpowiadająca jej krytyka umiejętna, — powiada autor, p. Szymon Askenazy, — muszą stać na jednakowo wysokim poziomie. Tak też rzecz się ma w dzisiejszej nauce europejskiej. Do... poważnej twórczości historyograficznej w kierunku nowożytnym przystosowano tam fachowy poziom równoległej poważnej krytyki. Aliści pojęcie krytyki jest nieodłączne od pojęcia sporności. To też powadze krytyki odpowiadać powinna powaga pobudek i przedmiotów spornych“. W dalszym ciągu autor, napomknąwszy o trudnościach w badaniu historii nowożytnej i zauważywszy, że w pracach nad tym przedmiotem „muszą być... luki, przeoczenia, nawet błędy“, — powiada: „Te wskazywać, choćby z surowością, ale zawsze ze sprawiedliwym umiarkowaniem, z istotną znajomością i głębszem rzeczy pojęciem, z dojrzałym, bezstronnym sądem, z rozumną pamięcią o warunkach, trudnościach i znaczeniu tych poszukiwań w zakresie polskich dziejów nowych i najnowszych, — piękne to zadanie rzetelnej krytyki naukowej“.

Rzecz znamienita, że powyższa konkluzya przyczepioną została do artykułu, w którym ten sam autor złożył najjaskrawsze dowody lekceważenia krytyki, odpowiadającej wygłoszonym tak uroczyście dezyderatom: surowej, lecz kompetentnej i bezstronnej. Cały bowiem artykuł p. A. jest niczem więcej, jak polemiką z dwoma jego krytykami: Stanisławem Krzemińskim i Władysławem Smoleńskim, polemiką, w której, zamiast dbałości o wyjaśnienie pewnych kwestyi naukowych, grzmi gniew i to nie z powodu obrażonej prawdy, lecz z racji dotkniętej miłości własnej.

W r. 1903 p. A. ogłosił w powtórnej edycji rozprawkę p. t. *Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem*. W siedmiu rozdziałach zestawił główne daty zmian w losach politycznych kraju, oraz związanych z nimi urzędzeń administracyjnych. Rzecz szematyczna, przeznaczona do praktycznego głównie użytku, np. przy stole dziennikarskim, mogła odpowiadać celowi o tyle, o ile była dokładną w szczegółach. Do skontrolowania podobnego artykułu historyczno-publicystycznego nikt nie miał więcej kwalifikacji od Krzemińskiego. Nie był on dziejopisem, lecz, obok niepospolitego wykształcenia humanistycznego ogólnego, posiadał rozległą wiedzę historyczną, zwłaszcza w zakresie najnowszym. Przywiązywał wiele wagi do szczegółów, których, dzięki odczytaniu i pamięci fenomenalnej, posiadał zasób wprost zdumiewający, nikomu zaś nie ustępował w znajomości chronologii. Otóż Krzemiński, niemający potrzeby uciekania się do źródeł archiwalnych, na podstawie materiałów urzędowych drukowanych wykazał mnóstwo nieścisłości i błędów w czterech pierwszych rozdziałach rozprawki i dość surową, lecz sprawiedliwą wyraził o niej opinię. Uznał pracę p. A. za „szkodliwą dla czytelnika, któryby na datach, podanych mu za prawdziwe, polegać zechciał”. „Prócz błędów, opuszczeń i niedokładności, — powiada Krzemiński, — jest w samej konstrukcji wiele zdrożnych zestawień, wtężyć, nagłych spóźnionych przypomnień... Nie byłoby tego wszystkiego złego, gdyby autor podjął był uprzednio trud ułożenia wykazu chronologicznego z dat pewnych... Skromna chronologiczność byłaby uwolniła autora od złudzenia, jakoby miał obowiązek przeprowadzić czytelnika przez potok fałszu po kruchych deseczkach retoryki, lub też obdarzać go martwymi wyrazami bez tętna przekonań. O *Stu latach* jedno zdanie mieć można: jest to utwór, który sam autor z dorobku swych niepospolitych zdolności jak najprędzej usunąć powinien“.

P. Askenazy w replice na recenzję odmówił Krzemińskiemu, jako niefachowcowi, prawa do roztrząsania dzieł historycznych; z impozycją, że „siedzi w dokumentach“, których on (Krzemiński) „nigdy na oczy nie widział“, żadnemu niemal zarzutowi nie przyznał racji. Jak zaś potraktował krytyka, który niczem autora osobiście nie uraził, świadczy odpowiedź Krzemińskiego. „Spodziewałem się, że natura ludzka w p. Askenazym reagować będzie na recenzję, która dojmującą dla niej być musiała; tylko przewidzieć nie mogłem, żeby reakcja ze strony profesora lwowskiego posunęła się aż do napaści,—tak, bo odpowiedź p. Askenazego napaścią, drapieżną napaścią jest. Na moje przedmiotowe wskazanie błędów p. Askenazy w jednym tylko wypadku przyznaje się do winy, w kilku tylko trzyma się w kar-

bach spokoju; w pozostałych gniewa się, miota, traci równowagę myśli i samopoznania, klęskę realną chce powetować wycieczkami osobistemi; rozumowanie, prowadzące do przekonania, zastępuje frazeologją; puszcza się na sofistykę, omija lub przeistacza kwestye; mając naocześnie otwarte wielkie podwoje, furtki sobie otwiera, worami słów usiłuje zasypać próżnię, którą dla swojej niby dobrej sprawy zostawił, a w którą ta niby dobra jego sprawa w żaden sposób wessać się nie dała. Ta taktyka, będąc najgorszą z form służenia prawdzie, którą historyk w najwyższej czci mieć powinien, jest też i najgorszą metodą obrony w polemice poważnej, której nie chodzi o to, kto wielki, a kto mały, ale o to, co jest prawdą, a co fałszem. Jeżeli zaś kiedykolwiek autor krytykowany miał prawo użyć takiej metody, to chyba nie p. Askenazy, który, popełniwszy już raz swoje *Sto lat*, popełnił w nich więcej jeszcze błędów, prócz wskazanych już przezemnie, i nawet — co najgorsza — teraz jeszcze, w tej samej odpowiedzi swojej, którą miał mnie powalić, do dawnych swoich błędów dodaje nowe“.

Jakoż Krzemiński wykazał panu A. nowe błędy.

Dla scharakteryzowania natury sporu jeden tylko przytoczę szczegół. Pan A. w broszurze swojej wyraził się: „W końcu listopada wynieśli się Prusacy z Warszawy, ... n a z a j u t r z wkroczyli Francuzi“. Na to Krzemiński: „Takie oznaczenie daty owija czytelnika w mgłę“, poczem wskazał 27 listopada, jako dzień wkroczenia najprzód straży przedniej, a potem korpusu Murata. Pan A. w swej replice wmawia w Krzemińskiego, jakoby przeczył, że... 27 odbyło się wejście Francuzów. „Nie wiem, — powiada Krzemiński w swej odpowiedzi, — jak mam zakwalifikować podobną sztukę dyalektyczną“.

Spór toczył się na łamach czasopisma warszawskiego p. t. *Ognio*.

Prawie jednocześnie z Krzemińskim w *Prawdzie* warszawskiej wystąpił przeciwko p. A., Smoleński.

W książce p. t. *Dwa stulecia* p. A. pomieścił rozprawkę p. t. „Odgłosy Targowicy“, składającą się z tekstu, kilku listów francuskich i komentarza. Smoleński wykazał szereg błędów w tekście, nieudolność w wydaniu dokumentów francuskich, omyłki w komentarzu. Spór w tym przedmiocie p. A., niezapomniawszy i o Krzemińskim, podjął w przytoczonym wyżej artykule p. t. „Metody i warunki krytyki naukowej w zakresie dziejów nowożytnych“.

Z Krzemińskim załatwił się krótko, albowiem, „choć piastuje w nauce historycznej... wysoką władzę sędziowską, historykiem wcale nie jest“. Smoleńskiemu nie odmówił kompetencyi, lecz

z poważnemi zastrzeżeniami. Oskarżył go (posiłkując się dyagnozą p. Korzona) o szerzenie w *Przewrocie umysłowym w Polsce wieku XVIII* waśni społecznych, t. j. o anarchizm, zarzucił mu absolutną nieznajomość kultury europejskiej, wytknął różne inne zdrożności, niemające żadnego związku ze sprawą o „Odgłosy Targowicy“. Przystąpiwszy do zwalczania zarzutów krytycznych, pominął milczeniem dziesięć, resztę usiłował pokonać manewrami dyalektycznymi, mianowicie przeistoczeniem tematów sporu. Gdy Smoleński twierdzi, że Stanisław August nie zawiadomił Szczęsnego Potockiego o swym akcesie do Targowicy listem z 24 lipca,— p. A. dowodzi, że zakomunikował mu o tem przez Ożarowskiego. Na uwagę, że Sievers nie żądał odwołania gotowości do pospolitego ruszenia, — p. A. odpowiada, że poseł rosyjski domagał się „zapobieżenia publikacji i druku“ uniwersału. Smoleński uzasadnia, że w liście Stanisława Augusta z 25 sierpnia nie ma wyrażenia: król „rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy“, — p. A. dowodzi, że Poniatowski pisał w tym liście o wykonaniu przez gwardyę przysięgi. Na zarzut, że listu z 25 sierpnia nie widział, rozwodzi się, że listu tego niewolno poczytywać za fikcyę. Zauważono, że p. A. nie podaje daty rocznej listów, on zaś twierdzi, że żądają od niego powtarzania tej daty. Wykazano mu pozytywnie opuszczenia w tekście dwóch listów francuskich, a p. A. twierdzi, że tylko w jednym.

Reguły obrończe te same, które tak dosadnie scharakteryzował Krzemiński.

W rezultacie p. A. uznał, że krytyka Smoleńskiego „jest wzorem doskonałym, jak recenzować zgoła niepodobna“, i zakończył swoje wywody ową ładną konkluzją.

Na odpowiedź Smoleńskiego nie reagował, chociaż objęła ona inne jego pisma historyczne i wykazywała mu nieznajomość prawa publicznego polskiego.

P. A. nie umie być wstrzemięźliwym nawet w stosunku do tych, którzy mu się niczem nie narazili. Nie szczędził np. przycin-ków Spasowiczowi, który o jego dziełach nie pisał. „Nietylko nie pozwalałam, ale stanowczo przeczę i pytam: kto pozwolił krytykowi robić takie przypuszczenia?“,—tak brzmi odprawa Spasowicza, jaką p. A. ściągnął na się złośliwą uwagą, że ten pisarz „pozwała dorozumiewać się“, iż podziela myśl Sergjusza Sołowjewa o możliwości osiągnięcia pewnych korzyści postępowych i moralnych przy pomocy siły materialnej. Autorowie, którzy zdobyli się na odwagę roztrząsania i kontrolowania pism p. A., traktowani są przez niego z bezwzględnością.

Pan August Sokołowski w *Przeglądzie polskim* i *Czasie* wytknął pewne usterki we *Wczasach historycznych* i *Łukasimskim*. Pan A. reagował na to, roztrząsając w *Kwartalniku historycznym* (rocznik XXIII) jego *Dzieje powstania listopadowego*.

Dzieło p. Sokołowskiego z natury tematu zawiera w sobie różne wątpliwości, które nieprędkiem pewnie będą rozwiązane, nie jest jednak lichotą, zasługującą tylko na lekceważenie. Autor niemal wszystko, co publikowano w tym przedmiocie, przeczytał, czerpał też i ze źródeł archiwalnych. Napisał książkę nie bez wad, lecz pożyteczną.

Krytyk zrewidował pierwsze kilkadziesiąt stronic, obejmujących wykład wstępny do historii powstania listopadowego, i na podstawie usterek, przeważnie urojonych, książkę potępił, autora usiłował ośmieszyć. O naturze zarzutów niech następujący zaświadczy przykład.

P. Sokołowski, wymieniając tajne związki po upadku Rzeczypospolitej, wyraził się tak: „Pierwszą podstawę tego działania stworzyła znana konfederacja krakowska z r. 1796“. Pan A. z powodu wyrazu znana uderzył w wielki dzwon krytyki. „Zaimponowała mi (powiada) wyrażona z tajemniczą kompetencją, a zresztą bez słowa wyjaśnienia, wzmianka autorska o „znanej (!) konfederacji w r. 1796“, gdyż właśnie dzieje tej konfederacji z r. 1796 są dotychczas jak najmniej „znane“, z wyjątkiem luźnych wiadomości pamiętnikarskich Ogińskiego, Orchowskiego i t. d., mnie jest ona „znana“ głównie z nietkniętych dotychczas przez nikogo źródeł archiwalnych;... byłbym niewymownie wdzięczny autorowi, gdyby mnie oświecił, gdzie dotychczas została wyświetloną ta, tak dla niego „znana“ sprawa“. Z równą słusnością, jak wyraz znana, p. A. atakuje zupełnie poprawne wersje książki krytykowanej, jak że konstytucja z r. 1815 „religii katolickiej nadawała stanowisko uprzywilejowane“, że chłopów dopuściła w zasadzie do zgromadzeń gminnych i t. p. W oświetleniu krytyka p. Sokołowski jest nieukiem, książka jego „pozbawiona absolutnie wszelkiej wartości naukowej“.

P. Sokołowski w wyczerpującej odpowiedzi na krytykę schodzi się w ocenie jej charakteru z Krzemińskim i Smoleńskim. „Gdy ja (pisze), wytykając autorowi usterki i błędy popełnione, każdy mój zarzut starałem się udowodnić, zachowując przy tem w pisaniu ton przyzwoity; on, przeciwnie, podchwytywał omyłki drukarskie, podsuwał mi myśli, których nie miałem, tłómaczył wykrętne ustępy, powyrywane z mojej książki, i na tej, sztucznie zbudowanej podstawie, oparł swój werdykt, potępiający nieodwołalnie całą

moją pracę, chociaż istotnej i głównej jej części krytycznie nie zbadał..“¹⁾).

Niemniej charakterystycznie potraktowany został p. Władysław Konopczyński.

W recenzji dzieła Waddingtona zwrócił on uwagę na to, że minister angielski, Pitt Starszy, przykładał rękę do zainicyowanego przez polityków rosyjskich podczas wojny siedmioletniej rozbioru Rzeczypospolitej. Pan A. w osobnej rozprawie wystąpił w obronie Pitta. Pan Konopczyński również w osobnej rozprawie uzasadnia tezę pierwotną i ośmiela się wygłosić konkluzję, że „z całej polemiki prof. A. nie pozostaje nic“. Pan A. z wyniosłością zgromił za to p. Konopczyńskiego, nieracząc nawet rozważyć jego argumentów. „Co do meritum (pisze pan A.) nie mam jednego słowa do stracenia. Prosty mój wywód ani w jednej niezwałony jocie, ani nawet tknięty. Dr. K.—badacz pracowity i pożyteczny, którego pracę wartościową sam w *Monografiach* ogłaszam—tutaj pobłądził. Ten błąd gruby wytknąłem dla rzeczy samej i dla zasady. Zasada być powinno, abyśmy, pisząc o rzeczach i ludziach europejskich, pisali tak, jak gdyby nas miał czytać specjalista europejski, Anglik, czy ktokolwiek, w czyją wkraczamy dziedzinę. To narazie cały mój morał“.

Bezpośrednio po monitach pana A. redakcja *Kwartalnika historycznego* ogłosiła uchwałę, której artykuł pierwszy stanowi: „Zarówno recenzje, jak i odpowiedzi mają zawierać tylko zarzuty rzeczowe, gruntownie uzasadnione; wszelkie osobiste wycieczki lub niewłaściwe wyrażenia mają być przez Redakcję usuwane“.

Dla pana A., który swe recenzje i polemiki przywykł zaprawiać motywami, niemającymi związku z nauką, wobec powyższej uchwały nie byłoby miejsca w dziale sprawozdawczym *Kwartalnika*. Dla nieznanymi przyczyn uchwały niewykonano, przynajmniej w stosunku do pana A., czego dowodem jego wystąpienie na szpaltach *Kwartalnika* z nowem dziełem krytycznem, dotyczącem mojego wydawnictwa p. t. *Emigracja polska*.

¹⁾ Na metodę krytyczną pana A. rzucają światło broszury: Polemika Stanisława Krzezińskiego z prof. uniw. lwowskiego p. Szymonem Askenazym. Warsz. 1903.—Smoleńskiego: Prawda w badaniach historycznych prof. Szymona Askenazego. Warsz. 1903.—Spasowicza: W obronie własnej odpowiedzi p. Szymonowi Askenazemu. Petersb. 1903.—Sokołowskiego: Odpowiedź na krytykę moich Dziejów powstania listopadowego. Kraków, 1909.

II.

W lecie r. 1887 pracowałem w przeciągu kilku tygodni w archiwum roskim. Archiwum to, chociaż porządkowane przez p. Kazimierza Waliszewskiego, nie było wtedy przyprowadzone do należytego ładu. W tekach mieszały się z sobą dokumenty z różnych okresów czasu i najrozmaitszej treści. Tak np. wśród korespondencji Sapiehów z XVII i pierwszej połowy wieku XVIII znajdowałem memoryały i listy, dotyczące emigracji polskiej po ostatnim rozbiórze Rzeczypospolitej. W stosach dokumentów, nieporuszanych ręką ludzką od niepamiętnych czasów, zbutwiały i rozsypujące się w proch, niszczały listy Konarskiego, Drużbackiej i innych.

Zdołałem skopjować sporo dokumentów z wieku XVIII, pomiędzy innymi korespondencją emigracyjną, uporządkowaną w części przez p. Waliszewskiego, w części przezemnie, złożoną w tece, oznaczonej nr. 104. Przepisałem własnoręcznie wszystko ważniejsze, co zawierała owa teka, w kolacyonowaniu zaś dokumentów pomagał mi uprzejmie gościnny gospodarz, niepospolity znawca przeszłości, hr. Stefan Potocki. Był zamiar wydania materiałów emigracyjnych kosztem hrabiego, lecz różne okoliczności stanęły temu na przeszkodzie.

Od owego czasu w Rosi nie byłem. Słyszałem, że archiwum, z którego wyszło wydawnictwo Waliszewskiego p. t. *Ostatni poseł polski do Partii ottomańskiej*, nawiedzały różne osoby i, prawdopodobnie, było porządkowane. Mogła wtedy ręka porządkująca uzupełnić tekę nr 104 dokumentami, które, rozproszone w różnych fascykulach, lub stosach papierów, uszły uwagi p. Waliszewskiego i mojej.

Kopje dokumentów roskich leżały u mnie dwadzieścia kilka lat i dopiero ruch najnowszej historyografii, zwrócony ku wyjaśnieniu stosunków emigracyjnych po r. 1794, skłonił mnie do wydobywania ich z teki. Część dokumentów, z których dała się ułożyć pewna całość organiczna, ogłosiłem w *Przeglądzie historycznym* (t. XI z r. 1910) i w osobnej odbitce p. t. *Emigracja polska w latach: 1795—97*. Publikacja moja przyczyniła się do ożywienia ruchu badawczego, co opłaciło sownie trud wydawcy. Dała asumpt do polemiki w sprawie ustalenia chronologii marsza legjonów, następnie stała się w znacznym stopniu podstawą paru prac konstrukcyjnych. W związku z tem jest mój artykuł, pomieszczony w *Przeglądzie historycznym* (t. XV), o książce p. Kukiela p. t. *Próby powstańcze po trzecim rozbiórze*. Z powodu tego właśnie artykułu

p. Szymon Askenazy, pod którego patronatem wyszło dzieło Kukiela, wystąpił w *Kwartalniku historycznym* (rocznik XXVII, str. 383—392) z krytyką mego wydawnictwa i zarazem obroną swego ucznia i własną.

* *

W przypisku do wydawnictwa zazaczyłem, że dokumenty mego zbioru (a nie całości roskiej) „ważniejsze podaję w całości; skrócenie niektórych dokonane zostało bez szkody dla wyświetlenia stosunków emigracyjnych“. Z tego przypisu p. A. wnioskuje, że zlekceważył inne dokumenty archiwum roskiego, dotyczące emigracji, dokumenty, „które (jego zdaniem) nawet nierównie większą mają wartość historyczną, aniżeli wszystkie stąd ogłoszone“ przezemnie. Ja w swym przypisku mówię o „ważniejszych“ dokumentach, objętych moim zbiorem, i o skróceniu niektórych „bez szkody“, a pan A. wnioskuje z tego, że wszystkie inne materiały roskie zbagatelizował. Ba! pan A., przeniknąwszy tajemnice mej pracowni, wie nawet, dla czego innych dokumentów roskich nie opublikował. „Dla dwóch podobno (powiada p. A.) powodów: pierwsze, część tych dokumentów pisana jest w języku francuskim; powtórne, są, jak zwyczajnie emigranckie, do zgryzienia niełatwe, nieczytelne, często bez daty, miejsca, podpisu, adresu, pełne aluzji, domyslników i t. p. Wydawca poradził sobie prosto w ten sposób, że dał pokój tym wszystkim dokumentom, których ogłoszenie przedstawiało dlań trudność językową i merytoryczną“. Do przełamania tych trudności powołany jest pan A., który też zapowiada publikację wrzekomo zlekceważonych przezemnie dokumentów.

Domysły pana A. tyle same przez się są warte, co jego wnioski, osobliwszego jednak nabierają waloru wobec mej zapowiedzi, że przygotowuję do druku dalszy ciąg materiałów roskich, tych właśnie, które, według krytyka, nastroczają tyle językowych i merytorycznych trudności wydawniczych. Zapowiedź tę ogłosiłem z okazji polemiki z p. Kukiелеm w *Przeglądzie historycznym* (t. XVI, str. 112). Pan A. o tej zapowiedzi, znanej mu niewątpliwie, zapomniał dla dwóch, jak sądzę, powodów: najprzód, że nie dogadzała mu ona w jego domysłach o mej nieudolności edytorskiej; powtórne, że wobec tej zapowiedzi materiały roskie, nieobjęte dotychczasowem moim wydawnictwem, nie stanowią spadku bezdziedzicznego, którym każdemu bez żadnego skrupułu wolno rozporządzać.

Po powyższem wyjaśnieniu mogę przejść do porządku dziennego w sprawie oskarżeń z tytułu nieuwzględnienia w mem wy-

dawnictwie całości zbiorów roskich. Dodam tylko jedno: niektóre z cytowanych w artykule pana A. dokumentów nie pomieściły się w mym zbiorze dla tego, że ich za bytności w Rosi nie znalazł.

Przystępuję do skontrolowania zarzutów, wymierzonych przeciwko temu, com wydał.

1) Na podstawie świadectw emigrantów skonstatowałem, że Komitet ocalenia publicznego w zawiadomieniu, zwróconem do Barssa, uznał potrzebę wysłania agentów polskich do Kopenhagi, Stockholmu i Konstantynopola. Wersję tę oparłem też na rezolucyi Komitetu z 9 sierpnia r. 1795, będącej odpowiedzią na notę emigrantów w sprawie wysłania agentów polskich do różnych stolic europejskich. Oryginał tej rezolucyi był zakomunikowany Barssowi, mającemu pełnomocnictwa z czasów kościuszkowskich. Podczas wynikłych na emigracyi niesnasek powstał nawet spór o zasługę wyjednania rezolucyi: Barss przypisywał ją sobie, przeciwnicy jego głosili, że wydana została dzięki stosunkom Giedroycia z Tallienem, członkiem Komitetu ocalenia.

Pan A. twierdzi, że świadectwa emigrantów co do sankcyi Komitetu ocalenia na wysłanie posłów „to fałsz wierutny, mydlenie oczu rodakom“; zarzuca też kłamliwość wiadomości, że rezolucyę z 9 sierpnia wyjednał Tallien, albowiem wystąpił on z Komitetu o siedm dni wcześniej.

Twierdzenia pana A. nabiorą wagi wtedy, gdy znajdą poparcie dowodów, przyczem wypadnie liczyć się z faktem pozytywnym: rezolucyą Komitetu ocalenia z 9 sierpnia. Oskarżenie o fałsz i mydlenie oczu rodakom dwudziestu trzech ludzi, podpisanych na akcie zawiązania Deputacyi z 22 sierpnia r. 1795, pomiędzy którymi byli: Barss, Prozor i Wybicki, uważam za ryzykowne; zarzucanie Mniewskiemu, Taszyckiemu, Dmochowskiemu i Giedroyciowi kłamstwa w sprawie udziału Talliena w wyjednaniu rezolucyi z 9 sierpnia, jako wysnute z niejasnej stylizacyi noty (którą pan A. mylnie po czytuje za moją) do listu, jest co najmniej nierozważne.

2) List Piotra Potockiego do Prozora kończy się następującym frazesem: „Jeżeliby zdania przeważyły za podaniem tego projektu, zamawiam sobie, aby z liczby osób, w nim wymienić się mających, Stanisław i Piotr byli wyłączeni, i aby biedny Sołtyk nie został kompromitowanym“.

W przypisku objaśniłem, że przez „Stanisława“ należy rozumieć Sołtyka.

Na to pan A.:

Nonsensem byłoby oczywiście w jednym zdaniu okrywać go (Sołtyka) samem imieniem i podawać pełne jego nazwisko; jasnym jest

w rzeczy samej, że „Stanisław“ oznacza tutaj Stanisława Potockiego, bawiącego podówczas również we Włoszech i czynnie choć nader ostrożnie współdziałającego emigracyi.

Mojem zdaniem, Piotrowi Potockiemu nie chodziło o ukrywanie kogoś samem imieniem, skoro podał nazwisko Sołtyka. Osobę Sołtyka raz wymienił z imienia, drugi raz z nazwiska dla tego, żeby w jednym zdaniu nie powtarzać tego samego wyrazu. W tej stylizacyi Potockiego, jak ja ją rozumiem, nie ma nonsensu, lecz jest poprawność pisarska. „Stanisław“ nie może oznaczać Stanisła Potockiego, o którym głucho w robotach emigracyjnych.

3) Pod nr. 22 na str. 28 (powiada pan. A.) ogłosił wydawca list Dąbrowskiego do P. Potockiego z datą 29 stycznia 1797. Data jest mylna; list pisany był 26 stycznia, co powinien był dostrzedz wydawca, gdyż o tym samym liście 26 wyraźnie jest mowa w późniejszym liście Dąbrowskiego 18 lut.. Wszelką zresztą wątpliwość usuwa wzmianka Dąbrowskiego o przyjeździe do Medyolanu „onegdajszego dnia“ Neymana, który przybył tam 24, jak wynika z listu Dąbrowskiego do Tremona, 25 Jänner: „Neumann ist aus Venedig gestern hier angekommen“.

Wbrew panu A. data listu 29 stycznia 1797 nie jest mylna; nabiera tem większej pewności, że podaną została (na co krytyk nie zwrócił uwagi) i według kalendarza rewolucyjnego: 10 pluviôse roku V. Mniemam, że raczej powołanie się Dąbrowskiego w liście z 18 lutego r. 1797 na pismo z 26 stycznia (zam. 29) jest mylne. Sądzę też, że Dąbrowski w liście do Tremona (jeżeli data jego jest pewną) niedokładnie przyjazd Neymana do Medyolanu oznaczył na 24 stycznia. Domysły pana A. dadzą się obalić następującym urywkiem listu Dąbrowskiego z 29 stycznia: „Ob. Woyczyński 24 stąd do Paryża wyjechał.. Neyman z Wenecyi onegdajszego dnia tu przybył...“ Gdyby wyjazd Woyczyńskiego zbiegł się (jakby to wypadło według listu do Tremona) z przyjazdem Neymana, Dąbrowski nie rozróżniałby tych dwóch wypadków chronologicznie.

4) Na str. 35 (słowa pana A.) z powodu wzmianki w tekście o wyjeździe Ogińskiego ze Stambulu dodaje wydawca w przypisku jedno z niewielu własnych objaśnień faktycznych: „wyjechał 9 listopada 1796“ — oczywiście fałszywe, gdyż Ogiński, *Mémoires II*, 242 pisze: „le 4 novembre 1796 je quittai Constantinople“.

Fałszywą jest data pana A., który bezkrytycznie poszedł za pamiętnikarzem, nieczytając moich dokumentów.

Rymkiewicz kilkakrotnie oznacza czas wyjazdu Ogińskiego z Konstantynopola. W liście z 3 grudnia 1796: „już 25 dni, jak stąd wyjechał“. W liście z 20 marca 1797 pisze, że Ogiński zajmował

mieszkanie w Konstantynopolu do 9 novembra. Wreszcie w liście z 21 marca 1797 donosi Kosińskiemu: „Ogiński... już od 9 novembra roku przeszłego jak tu nie jest“.

5) Zarzut, żem w nocie: „Mowa o układzie z rządem lombardzkim z d. 20 nivôse r. V (9 stycznia r. 1797), podpisanym przez Bonapartego“, mylnie podał datę podpisania układu przez Bonapartego, jest bezzasadny. Data dotyczy samego układu z rządem lombardzkim i ta jest ścisła; daty podpisu wodza naczelnego armii włoskiej nie podałem i dla tego błędu w niej popełnić nie mogłem.

6) Ogłosiłem z autografu list Dąbrowskiego z datą i miejscem: „D. 4 plutose de Milan“. Zamieściłem z okazji tej daty przypisek: „Takiej nazwy miesiąca nie zna kalendarz francuski rewolucyjny...“

Na to pan A.:

Pod nr. 26 ogłoszony list Dąbrowskiego z Medyolanu... opatrzony na str. 37 nadzwyczajną datą: „4 plutose“ (sic!), do której wydawca dodaje od siebie jeszcze nadzwyczajniejszy przypisek: „takiej nazwy nie zna kalendarz francuski rewolucyjny; list pochodzi prawdopodobnie z marca t. r...“ W rzeczywistości data tego listu jest poprostu 4 ventôse t. j. 22 lutego 1797.

Przypuszczam, że p. A. do tej „rzeczywistości“, że data listu „jest poprostu 4 ventôse“, doszedł na podstawie autografu Dąbrowskiego. Ależ i ja datę „plutose“ wziąłem z tego samego źródła. Chociaż z tonu admonicji, jakiej mi pan A. udziela, bije pewność, żem popełnił błąd, ja jednak nie uznaję się za pokonanego dopóty, dopóki krytyk nie dowiedzie swej lekcyi przez opublikowanie podobizny autografu, do którego ma dostęp.

7) Pod nr. 27 ogłoszony został list z Hamburga 23 marca 1797 z taką na str. 37 szczególną intytlucją edytorską: „? do...“, do czego dodany został następujący przypisek: „list bez podpisu... możnaby podejrzewać o autorstwo Dmochowskiego...“

W dalszym ciągu pan A. łaje mnie, żem autorstwo listu przypisał Dmochowskiemu, chociażem ja jako żywo tego występku nie popełnił, czego dowodem mój przypisek, rozpoczęty przez krytyka, lecz niedokończony:

Na podstawie szczegółów, podanych przez Dembowskiego w piśmie z 9 kwietnia r. 1797, możnaby podejrzewać o autorstwo Dmochowskiego, gdyby sąd o Barssie nie kłócił się z opinią, wyrażoną o nim w liście z 15 lutego r. 1796, i gdyby nie wątpliwość, czy głośny niegdyś współpracownik Kollataja bawił w Wenecyi przed wyjazdem z Paryża do Hamburga.

Gdzież tu przypisywanie autorstwa listu z 23 marca 97 Dmo-

chowskiemu? Pan A. twierdzi, że rzeczony list pisał Wojczyński do Piotra Potockiego. Pierwsza część tego twierdzenia wymaga jeszcze dowodu, druga jest mylną. List nie mógł być adresowany do Piotra Potockiego, skoro kończy się frazesem: „Ze starostą (mniemam, że mowa o staroście szczyrzeckim) zacznę korespondencję z Berlina“.

8) Dla zdemonstrowania świetności pomysłów krytycznych pana A. przytoczę dłuższy nieco ustęp z jego recenzji.

„Przytrafił się wydawcy oplakany przypadek kalendarzowy. A mianowicie p. S. nic nie wie o tem, że nietylko w urzędach rosyjskich, lecz wszędzie, gdzie panuje schyzma, a zatem na całym wschodzie tureckim, używany jest, a przynajmniej był w XVIII w. kalendarz juljański. Ponieważ skutkiem tego nie zatroszczył się o uporządkowanie kalendarzowe... papierów, więc w ich datowaniu porobiło się pomieszanie chaotyczne, narażające czytelnika na błędy najgrubsze. Dam jeden przykład. Pod nr. 52 ogłoszony list Ogińskiego, jadącego ze Stambułu na Galicyę do Paryża, mieszczący ważną, najwcześniejszą „nowinę wszędzie po trakcie głośną o śmierci Katarzyny“. List ten jest tu datowany „d. 6 decembra 1796 od granic galicyjskich“. Owóż byłoby nadzwyczaj dziwnem, gdyby ta wiadomość... tak wcześniej.. rozchodziła się po traktach tureckich... Co się tyczy Ogińskiego, to wprawdzie w swoich *Mémoires II*, 256 pisze on wedle robionych w drodze notatek, że przybył od granicy galicyjskiej do Jabłonowa Dzieduszyckich „le 10 décembre“, ale zaraz potem... podaje, że wyjechał z Jabłonowa „le 10 janvier 1797 apres un séjour de trois semaines“, co jest datą pewną, bo zaraz potem mówi o przybyciu z Jabłonowa do Lwowa „le 12 janvier“, a stąd wynika, że przybył do Jabłonowa 10/21 grudnia. Z tego zaś jasno znów okazuje się, iż data ogłoszonego listu jest 6 grudnia st. st. czyli 17 grudnia, co jest całkiem w porządku, gdyż w połowie grudnia, kiedy wiadomość o śmierci Katarzyny doszła do Wiednia, mogła ona dojść również do „granic galicyjskich“. Ale wydawca podaje daty st. st. jako nowego stylu i wnosi konfuzję, z której świadomy nawet czytelnik niełatwo wybrnąć potrafi“.

Można się dziwić, że w piśmie Ogińskiego, datowanem 6 grudnia 96 od granic galicyjskich, mieszczą się odgłosy o śmierci Katarzyny¹⁾; niewolno jest jednak dla tego tylko, że się nie zna źródła tak wczesnej wiadomości, poczytywać rzeczony daty listu za juljańską. Przecież Ogiński podczas pobytu na wschodzie, t. j. w Kon-

¹⁾ Właściwie nie będzie w nich nic nadprzyrodzonego, jeżeli odrzuci się urojony w tym wypadku związek pomiędzy Wiedniem a granicami galicyjskimi. Pan A. nie wie, że odgłosy o śmierci Katarzyny doszły do Wilna 25 listopada, a do Warszawy 2, najpóźniej 3 grudnia; czemużby drogą na Kamieniec lub Odessę nie mogły przedostać się przed 6 tegoż miesiąca w okolice Jass, gdzie przebywał Ogiński?

stantynopolu, używał w raportach i listach swoich wyłącznie kalendarza gregoryańskiego, lub rewolucyjnego francuskiego; miałby przetrząść się do juljańskiego wtenczas, gdy zbliżył się do świata katolickiego, t. j. do granic galicyjskich? Oprócz tej dowolności pan A. dopuszcza się drugiej, jeszcze fantastyczniejszej: każe Ogińskiemu i w pamiętniku (choć ten nie był pisany na wschodzie) datę przyjazdu do Jabłonowa (10 grudnia) oznaczyć również datą juljańską. Postępując konsekwentnie, należałoby i daty: wyjazdu (10 stycznia 97) tegoż Ogińskiego z Jabłonowa i przybycia (12 stycznia 97) do Lwowa poczytać za juljańskie, czego jednak pan A. nie czyni. A więc według pana A. data listu jest juljańska; z trzech dat, podanych w pamiętniku, jedna (10 grudnia) juljańska, a dwie (10 i 12 stycznia 97) gregoryańskie. I po co to wszystko? Oto, żeby wieść o śmierci Katarzyny na granicy galicyjskiej uczynić późniejszą o jedenaście dni i żeby ocalić jeden szczegół pamiętnika: trzytygodniowy pobyt Ogińskiego w Jabłonowie. Skoro Ogiński (tak rozumuje pan A.) wyjechał z Jabłonowa 10 stycznia, bawił zaś w nim trzy tygodnie, to stąd wypada, że przybył tam nie 10, lecz 21 grudnia, a zatem i list z 6 grudnia należy przełożyć na datę gregoryańską. Czy trzytygodniowy pobyt Ogińskiego w Jabłonowie jest pewnikiem nad wszelką wątpliwość? Dla czego Ogiński nie miałby tam bawić dłużej i tylko w pamiętnikach zaszła pomyłka? Mniemam, że dla ocalenia wersyi o trzytygodniowym pobycie Ogińskiego w Jabłonowie niemożna poświęcać wiarogodności dwóch dat: listu i pamiętnika. Zresztą, w obronie daty gregoryańskiej listu z 6 grudnia nie jeden jeszcze nastrocza się argument. Ogiński przybył do Jass w nocy z 28 na 29 listopada i zaraz wyjechał do granic galicyjskich, gdzie bawił zaledwie kilka dni (*Mémoires*, II, 249, 254). Przebywałby tam kilkanaście dni, gdyby, jak chce pan A., list z 6 grudnia datował według kalendarza juljańskiego. Decydujące jest też w tej kwestyi rozwiązanie pytania: ile trzeba było czasu na dojście listu od granic galicyjskich do Konstantynopola, do rąk Rymkiewicza? Wiemy, że list Ksawerego Dąbrowskiego, datowany z Bukaresztu 11 września r. 1796, otrzymał Rymkiewicz w Konstantynopolu 21 tegoż miesiąca, t. j. po upływie dni dziesięciu. List Rzodkiewicza, datowany z Bukaresztu 16 stycznia 97, doszedł do Konstantynopola 31 tegoż miesiąca, t. j. wędrował przeszło dwa tygodnie. List Ogińskiego od granic galicyjskich na dojście do Stambułu wymagał chyba więcej czasu. Doszedł do rąk Rymkiewicza 24 grudnia. Szedłby tylko tydzień, gdyby był datowany według starego stylu.

Okoliczności tych pan A. w moim zbiorze nie dostrzegł.

Datę gregoryańską listu Ogińskiego parokrotnie stwierdza Rymkiewicz, 15 lutego 1797 pisze: „Ogiński w liście swoim de die 6 decembris obiecał znowu pisać do mnie za dwa tygodnie; już dwa minęły miesiące, a jeszcze nic nie mam“. 15 lutego „dwa miesiące minęły“ od 6, a nie od 17 grudnia. Tenże Rymkiewicz 21 marca 1797: „Od tego czasu (6 decembra) już blisko cztery miesiące nie wiem, gdzie się podział Ogiński“. 21 marca upływały „blisko“ cztery miesiące raczej od 6, niż od 17 grudnia. Rymkiewiczowi, mieszkającemu w Konstantynopolu i niegorzej pewnie od pana A. znającemu praktykę rachuby czasu na wschodzie tureckim, przez myśl nie przeszło, żeby Ogiński mógł datować listy według kalendarza juljańskiego.

Po tym wywodzie mogę zwrócić się do pana A., tak troszczącego się o uporządkowanie kalendarzowe dokumentów (widzę w tem postęp, albowiem w „Odgłosach Targowicy“ opublikował listy, opuszczając daty), z zapytaniem: kto to wprowadza „w ich datowaniu... pomieszanie chaotyczne, narażające czytelnika na błędy najgrubsze?“, kto „wnosi konfuzję, z której świadomy nawet czytelnik niełatwo wybrnąć potrafi?“

9) Pan A. na głowę wydawcy potrafi ściągać gromy z najpogodniejszego nieba.

Rymkiewicz 20 marca 1797 pisze: „Odebrałem trzy listy: jeden od podpułkownika Kosińskiego, datowany 30 januarii, bez wyrażenia miejsca, skąd pisany, który jednak w treści supponuję być w Mantui...“

Do tego ustępu dałem taki przypisek:

30 stycznia (11 pluviôse) r. 1797 Kosiński z bataljonem strzelców stał w Medyolanie, skąd 8 marca wymaszerował do Mantui.

W powyższym przypisku nie chodziło mi o decydowanie: skąd list 30 januarii był datowany, lecz o zaznaczenie, że, wbrew domysłowi Rymkiewicza, nie mógł pochodzić z Mantui. Z powodu tego dopisu pan A. zappełnił całą stronę *Kwartalnika* pomysłami, wprost zdumiewającymi.

Rymkiewicz (słowa pana A.) nie wiedział napewno, gdzie podówczas (t. j. 30 stycz. 97) siedział Kosiński; ale p. S. wie jak najdokładniej i dodaje... przypisek, niepozostawiający pod względem precyzji nic do życzenia... Oczywiście, że to jedno z niewielu rzadkich rzeczowych wyjaśnień wydawcy, wykraczające po za zwykłe formalne parafrazy przypiskowe, jest zgoła błędne... Ta okoliczność, że batalion Kosińskiego wyszedł z Medyolanu 12 (nie 8) marca bynajmniej jeszcze nie upoważnia do stwierdzenia z taką „precyzyą“, jakoby Kosiński był w Medyolanie „30 stycznia, 11 pluviôse“. W rzeczy samej wtedy wła-

śnie nie było go tam napewno... Kosiński,... kiedy pisał do Rymkiewicza, będąc przy kwaterze głównej Bonapartego, znajdował się albo w Weronie, albo po drodze z Werony do Bolonii... Wolno było wydawcy tego nie wiedzieć; ale niewolno, przy zupełnej nieświadomości rzeczy, rzekomą „precyzyjną“ informacją przypiskową wprowadzać w błąd czytelnika.

Cała ta szarża oparta jest na osobliwej interpretacji użytego przezemnie w dopisku terminu: stał. Jam powiedział: „Kosiński z bataljonem strzelców stał w Medyolanie“, a pan A. wmawia w czytelnika, jakoby twierdził, że Kosiński 30 stycznia 1797 siedział (dla czego nie leżał?), to znowu, że był w tem mieście. Mnie nie o to chodziło, czy on tam siedział lub był, lecz że stał. Miał w Medyolanie stanowisko z bataljonem, mógł zaś osobiście przebywać gdzieindziej. Kosiński, bez względu na to, czy był faktycznie w Medyolanie, stał w nim dopóty, dopóki ze swym bataljonem nie wymaszerował do Mantui. Dopisek mój może rozumieć inaczej tylko czytelnik, nieumiejący dobrze po polsku. Do tego dodam, że wydawnictwo moje, nieczekając na nadzwyczajne odkrycia pana A., stwierdziło nieobecność Kosińskiego 30 stycz. 97 w Medyolanie. Że go tam wtedy nie było, ujawnił to ogłoszony przezemnie list z 29 stycznia 1797, w którym Dąbrowski pisze: „względem uregulowania niektórych punktów wysłałem do Bonaparty Kosińskiego, którego powrót za parę dni spodziewany“.

10) Pan A. zarzuca mi niedostateczność objaśnień i rozwodzi się nad takimi osobistościami, jak Malmesbury i Reinhard. Z równem powodzeniem mógłby ku memu upokorzeniu rozpisać się o ludziach, jak Aubert-du Bayet, Barthélémy, Bonaparte, Caillard, Carnot, Verninac, niewyjmując Mahometa.

Szkoda, że jedyny, a tak świetny znawca stosunków emigracyjnych poskąpił objaśnień, których niepodobna zaczerpnąć z pierwszej lepszej encyklopedyi. Co to byli za jedni: Benedykt, Jakób, K... i t. p., wymienieni w korespondencyi emigracyjnej? Od takiego specjalisty wypadałoby spodziewać się pozytywnego poparcia lub obalenia mego domysłu o Weygtynowskim—Sołtyku. W istocie rzeczy pan A., wnioskując z jego recenzji, bardzo skromne ma wiadomości o wychodźstwie polskiem. Nie odczytał nawet uważnie mego wydawnictwa, które (choć niekompletne i pewnie nie bez wad) rzuca wiele światła na legendę emigracyjną.

* * *

Roztrząsnąłem wszystkie zarzuty: z wyjątkiem jednego i to drobnego (mylnie podałem imię Leszczyńskiego), żaden z nich nie jest

uzasadniony. Z obszernego artykułu pana A. pozostają niepoko-
nane tylko inwektywy, w których zażyciu krytyk jest niezrównany,
oraz ton — wersalski.

Pan A. w swym artykule krytycznym usiłuje opanować czy-
telnika krzykliwością frazesu Niemając w istocie rzeczy nic słu-
sznego do powiedzenia, zaprzęta się drobiazgami, stwarza niebywałe
sytuacje, zmienia sens wyrazów i grzmi w obronie wrzekomo po-
krzywdzonej nauki. Znamienniejsze partye recenzi: termin wyja-
zdu Ogińskiego z Konstantynopola, datowanie przez tegoż listu
według kalendarza juljańskiego, incydent z Dmochowskim, inter-
pretacya terminu „stał“, obliczone zostały chyba na łatwowierność
lub nieświadomość czytelnika. Nieocenione, jako probierz kryty-
cyzmu przy szacowaniu wartości naukowej dzieł profesora lwow-
skiego, muszą one odegrać rolę znaków ostrzegawczych, zresztą nie-
pierwszych w historyografii polskiej.

Te same właściwości cechują i obronę p. Kukiela. Pan A.
ma odwagę powiedzieć, że w recenzji książki jego ucznia „zgło-
sił (?) kilka drobnych myłek, głównie w imionach osobowych i na
tej zasadzie całe cenne dzieło... od wszelkiej odsądził wartości“.
W imionach osobowych zaznaczyłem w swej recenzji tylko dwie
pomyłki (Niemojewski i infantka); inne zarzuty wykazują, że p. Ku-
kiel dziecku powierza misję dyplomatyczną, nieboszczykom każe
emigrować, kilkakrotnie z dwóch osób robi jedną, nie ma pojęcia
o ludziach, o których pisze, zdradza niedostateczne wykształcenie
historyczne, robiąc np. Wybickiego posłem sejmu wielkiego, a Wa-
lewskiego marszałkiem sejmu grodzieńskiego.

Pan A. jest odpowiedzialny za książkę, którą zalecił do druku
i zareklamował. Nie dziwię się, że podejmuje obronę siebie w swym
uczniu, lecz czemu, nierozstrząsnąwszy szczegółów, bagatelizuje do-
niosłość zarzutów i sumarycznie przeczy prawdzie mej krytyki? Na-
leżało ją, zwłaszcza, że podaną została w formie przyzwoitej, przy-
jąć spokojnie i na przyszłość baczniej pilnować ucznia i siebie.
W tym celu była pisana.

III.

Pan A. głosi, że, pisząc swe krytyki, pełni misję krzewiciela
„solidnej metody studyów“ w zakresie nowożytnym. „Wobec roz-
budzonego ostatnimi czasy szerszego zainteresowania się dziejami
porozbiorowemi,—powiada z okazji dzieła p. Sokołowskiego,—kiedy
coraz liczniejsze grono młodych a dzielnych pracowników przy-
stępuje do mozolnego, ścisłego opracowania monograficznego tych

dziejów, niepodobna pozwolić, a zwłaszcza niepodobna recenzentowi, mającemu dość bliską styczność z pracami młodszych historyków w tym zakresie i obowiązkanemu zalecać im nieustannie solidną metodę studyów, obojętnie patrzeć się na to, jak te poważne dążenia badawcze zostają krzyżowane i dyskredytowane przez produkcję w rodzaju recenzowanej książki". Twierdzi, że piastuje wysoki urząd „przez sprawowanie odpowiedniego dozoru krytycznego, będącego obowiązkiem nauczyciela i pisarza, nieobojętnego, z samego przedmiotu prac uczniów swoich i własnych, na prawidłowy rozwój badań naukowych w zakresie dziejów nowożytnych".

Mniemam, że pan A. obciążył się obowiązkami nad siły, faktem jest bowiem niezbitym, że urząd krytyka, który objął z własnej nominacji, spełnia źle. Jeżeli przyczynia się do rozrostu twórczości historyograficznej w kierunku nowożytnym (czego nie myślę mu odmawiać), to, z drugiej strony, poziom krytyki naukowej obniża. Szkodliwie w tym kierunku działa sam i zły przykład daje młodszym. Pojętniejsi z jego uczniów już tego samego próbują lotu.

Metody krytyczne p. Askenazego nie mogą być tolerowane w piśmiennictwie historycznym.

WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI.